Nr. 18. Lwów dnia 31. Maja 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia Ka. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

I.

Gdym przed dwunastu laty w obszerniejszej rozprawie przedsięwziął skreślić rolę, jaką odgrywał ksiądz Hugo Kołłątaj przez lat blizko czterdzieści w dziejach upadającej i odradzającej się ojczyzny naszej, wyznałem otwarcie. że w braku źródeł niewątpliwej wiarogodności poprzestać muszę na poglądowem jedynie ocenieniu czynów i pism jego. Od tego czasu przybyło dość cennych materyałów. a chociaż na podstawie tychże wypadnie nie jedno sprostować, co się przed ich powiedziało ogłoszeniem, przekonuję się przecież z radością, że głównego zdania mego o zasługach tego znakomitego męża i o czci mu należnej nie muszę i teraz cofać. Jak każdy potężny duchem i zdolnościami człowiek miał i Kołłątaj obok licznych zwolenników równie mnogich nieprzyjaciół, którzy częścią z zawiści i zazdrości, a częścią z pobudek stronniczych pragnęli podać w podejrzenie jego charakter i zamiary, przyczem nie małą odgrywała rolę, i chęć zrzucenia z siebie a zwalenia na niego winy za klęski i niepowodzenia publiczne. Nikogo przecież z ludzi znakomitych, których Polska wydała w drugiej połowie XVIII wieku, nie prześladowano z równą zaciekłością, jak właśnie Kołłątaja. Z tego więc względu należy się wdzięczność każdemu, kto wydaniem nieznanych dotąd materyałów i dokumentów dziejowych przyczyni się do rozjaśnienia zdarzeń, w których mąż ten ważną odgrywał rolę. Mniejsza o sąd wydawcy, byle sumienni badacze mogli z źródeł przezeń ogłoszonych korzystać. Po szacownej rozprawie Leona Wegnera wydanej w Poznaniu r. 1869 nakładem towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego pod napisem: *„Hugo Kołłątaj na posiedzeniu rady królewskiej z dnia 23go Lipca 1792 r.)*, w której autor kilka ważnych ogłosił dokumentów, są najcenniejszym materyałem: *„Listy Hugona Kołłątaja pisane z emigracyi w r. 1792, 1793 i 1794,“* zebrane przez Lucyana Siemieńskiego, a tworzące XII tom pamiętników z ośmnastego wieku wydawanych nakładem Jana Konstantego Żupańskiego, księgarza w Poznaniu.

Zbiór ten listów, których jest 114, zawiera bardzo ważne szczegóły, dotąd albo nieznane, albo niewyjaśnione należycie. Siemieński powiada w swej przedmowie, że zbiór ich ułożył z dwóch, z różnych stron otrzymanych odpisów, a w tem właśnie widzi rękojmię ich autentyczności. Sama ta okoliczność nie byłaby, zdaniem mojem dostateczną do uzasadnienia ich autentyczności, gdyby jej nie poręczały styl i sposób pisania dowodzące aż nadto, że są utworem Kołłątaja.

W kilkukartkowej przedmowie, która poprzedza ten zbiór listów, w najgorszem przedstawia świetle ich autora, a co więcej radby z nich wysnuć dowód, że pewne stronnictwo, uważające Kołłątaja za swego proroka, zatarło ogólnikami frazesów, którymi lubi się posługiwać, prawdziwe rysy charakteru jego. Zanim przystąpię do rozbioru zarzutów przez Siemieńskiego Kołłątajowi poczynionych i do rozbioru samychże listów, muszę w zarysowym przynajmniej przeglądzie zestawić główne zdarzenia z życia jego.

II.

Kołłątaj wrócił z Rzymu, gdzie po ukończeniu nauk uzyskał stopień Dra teologii i prawa a oraz z nadania papiezkiego kanonię krakowską, do ojczyzny po zamknięciu sejmu rozbiorczego, który splamiwszy się w niejednym względzie, ustanowieniem przynajmniej komisyi edukacyi narodowej prawdziwą krajowi wyrządził usługę. Prezesem tej komisyi był w chwili powrotu Kołłątaja brat królewski Michał Poniatowski, biskup płocki, gdy poprzedni jej prezes biskup Massalski zmarnowawszy na zbytki część jej funduszów a zaskarżony to przez Jędrzeja Zamojskiego, musiał tę godność zł

Nowy prezes widząc zdolności młodego kanonika, który zaraz za powrotem do kraju ofiarował swe usługi komisyi, wciągnął go najchętniej do prac tejże, zwłaszcza gdy właśnie wtedy prace te miano rozpocząć na większe rozmiary, a zbytku ludzi zdolnych nie było wcale. Wiadomo powszechnie, że główny pochop do utworzenia komisyi edukacyjnej dało zniesienie zakonu jezuitów, po którym w Polsce pozostały liczne szkoły i ogromny majątek ruchomy i nieruchomy. Nowo obrana komisya miała przedewszystkiem objąć zarząd majątku pojezuickiego i szkół pojezuickich, a przytem i naczelne kierownictwo nad całem wychowaniem publicznem w Rpltej. Z szkołami pojezuickiemi lub utrzymywanemi przez inne zgromadzenia zakonne była rzecz łatwa. Tu można było bez uporu wszystko przetwarzać i ulepszać. Lecz z akademią krakowską, której prawa i przywileje każdy z królów musiał zatwierdzać, a którę otaczał urok kilkuwiekowej tradycyi, była sprawa nader trudna a nawet niebezpieczna. Mając jednakże na celu gruntowną i wszechstronną naprawę całego wychowania publicznego, trudno było nie tykać zastarzałych form akademii krakowskiej, które w rażącej były sprzeczności z postępem i duchem czasu a oraz z potrzebami narodu. Przeistoczenie tej szkoły głównej było więc koniecznem, lecz przeprowadzenie tegoż wymagało niepospolitej zręczności, aby nie chybić celu, i nie wywołać powszechnego roznamiętnienia przeciw reformom zamierzonym. Do trudności zadania przyczyniała się wielce osobistość Kajetana Sołtyka, biskupa krakowskiego, który nie tylko z urzędu jako kanclerz akademii miał czuwać nad całością jej praw i przywilejów, poręczonych przez wszystkich królów poprzednich, ale w dodatku przez Stan. Augusta r. 1766 był mianowany jej wizytatorem i dotąd nie był odwołany. Charakter jego stanowczy a nawet gwałtowny, a przytem urok przebytych za ojczyznę cierpień otaczający osobę jego, zapowiadały z góry, że każde przedsięwzięcie wbrew woli jego podjęte, może łatwo wywołać opór niebezpieczny. Z drugiej zaś strony nie podobna było marzyć o przekształceniu wychowania publicznego, dokąd akademia krakowska odpowiednej nie ulegnie reformie.

Do wdrożenia myśli reformy takiej i następnego przeprowadzenia tejże, trzeba było człowieka nadzwyczaj zręcznego, a przytem zdolnego, uczonego, sprężystego i pracowitego, który pojmując ważność poruczonego sobie zadania, nie uląkłby się ani trudu ani przeszkód co krok napotykanych. W gronie swojem nie miała komisya wówczas męża, któryby w sobie wszystkie powyższe jednoczył przymioty, i dlatego postąpiła sobie mądrze i patryotycznie, gdy powołała do tej czynności trudnej i delikatnej z po za swego grona człowieka, który do tego był jak gdyby stworzonym. Był nim ksiądz Hugo Kołłątaj. Wezwany przez komisyę podjął się zadania równie zaszczytnego jak trudnego i niebezpiecznego, ponieważ w razie niepowodzenia byłby się okrył sromem tylko, a w dodatku ściągnął na siebie wzgardę i nienawiść publiczności, przywiązanej z czcią niejako bałwochwalczą do otoczonej aureolą świetnej tradycyi akademii, tej *alma matris* całej Polski, którę poczytywano za coś tak świętego, że targnięcie się na nią uchodziło za czyn świętokradzki, czego sami nawet jezuici doświadczyli w czasie swego wszechwładztwa.

Był to krok bardzo śmiały ze strony Kołłątaja, zwłaszcza gdy jako kanonik w Rzymie mianowany nie miał jako „kortezan“ miru w kapitule krakowskiej, a tem samem łatwo mógł przewidzieć, że będzie się łamać z niechęcią z góry przeciw niemu powziętą. Czuł też całą delikatność swej misyi, a mimo to podjął jej się w przekonaniu, że byle komisya nie odmówiła mu potrzebnego poparcia, dokona poruczonego sobie dzieła. Zjechał też w charakterze wizytatora komisyi edukacyjnej w r. 1777, a nie tykając na razie akademii, przystąpił do reformy gimnazyum nowodworskiego. Nie było i to łatwem zadaniem zważywszy, że zrośnięcie się nauczycieli z dwuwiekową przeszło rutyną szkolną i błędne wyobrażenia zakorzenione między ogółem szlachty utrudniały wykonanie każdej śmielszej myśli reformatorskiej na polu wychowania publicznego. Znajomość łaciny uchodziła za mądrość i szczerość, a nikt nie zważał na to, że każdy prawie z ówczesnych mędrców, przemawiających po łacinie i używających w potocznej nawet rozmowie gęsto wyrazów i frazesów łacińskich, w rzeczy umiał bardzo mało, a nieświadomość swą osłaniał wyrażeniami łacińskiemi. Nie zrażając się trudnościami ani dbając o zakorzenione przesądy, postanowił Kołłątaj zamiast łacińskiego zaprowadzić polski język jako wykładowy, ułożyć całkiem nowy plan szkolny i dobrać nauczycieli, którzyby potrafili według nowego planu i rozkładu przedmiotów udzielać młodzieży z korzyścią nauk przepisanych. Znosząc się nieustannie z komisyą, uzyskał zatwierdzenie z jej strony wszystkiego, co ułożył po dokładnej rozwadze. Tym sposobem dokonał wstępnego niejako kroku, ponieważ tuż pod bokiem akademii przetworzył całkowicie gimnazyum nowodworskie. Nie obeszło się bez sarkań i narzekań dość głośnych na reformatora. W całem województwie krakowskiem piorunowała nań szlachta, że wprowadził jakieś zgubne nowości i że przez wykluczenie języka łacińskiego pozbawił młodzież tak potrzebnej nauki tegoż, a co więcej przepowiadano nawet, że młodzież w tej szkole nic się nie zdoła nauczyć. Kołłątaj zniósł cierpliwie wszystkie ztąd powstałe zarzuty, licząc z pewnością na to, że popis roczny młodzieży przekona i najbardziej uprzedzonych o zbawienności wprowadzonych przezeń w gimnazyum nowodworskiem ulepszeń. I rzeczywiście nie zawiodło go oczekiwanie. Popis roczny w r. 1778 wypadł tak świetnie, że rozczuleni rodzice i liczni goście nie posiadali się z radości, widząc ogromne w stosunku do dawniejszych postępy uczniów we wszystkich przedmiotach naukowych a nawet w łacinie. Ta próba znakomita umożliwiła komisyi zaprowadzenie tego samego planu nauk i trybu uczenia we wszystkich innych szkołach tej kategoryi.

(C. d. n.)

SCHERZO.

Miałem tęczową złudzenia chwilę,
Gdym poznał ją;
Na duszy miała skrzydła motyle
A w blasku źrenic słodyczy tyle,
Żem wierzył w nią...
I pierś mi przy niej drżała miłośnie
Jakoby łono fiołka o wiośnie
Srebrną zroszone łzą.

Kładła mi z prostą szczerości mową
Na usta dłoń —
A ja pieściłem rękę i słowo,
Co tak płynęło cicho nad głową,
Jak lilii woń:
Mówiła: „Będę ci przyjaciółką!“
Że znowu byłem podobny fiołkom
I w ogniu miałem skroń.

Z ustek sączyła kaskadę słodką
Pieszczonych słów,
I czarującą była chichotką,
A kibić miała, jak obłok, wiotką,
Lekszą od snów;
Była utworem czystej natury
I wyszydzała nastrój ponury
Sentymentalnych głów.

Mówiła: „Dotąd znałeś kobiety
„Z eterów, z mgły,
„Wyśrubowane duchem w błękity,
„Albo sączące, jak skalaktyty,
„Westchnienia, łzy...
„Jam zaś jest prawdą, życiem, swobodą,
„Na duchu świeżą, w uczuciach młodą —
„Czy ramię podasz mi?..."

Podałem... Księżyc spoglądał rzewnie,
Wiał nocny chłód,
Ubraną była bardzo powiewnie,
A więc i szalik dałem królewnie
I stał się cud..
Majowym chłodem zbyt przeziębieni
Już powróciliśmy bez płomieni —
Skończony serca trud.

24 Maja 1872. *Bronisław Zawadzki.*

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy się to działo, Cesarz Aleksander powziął zamiar wielkiego przeglądu 2-giej armii, z manewrami bojowymi. Wnet poleciały z Petersburga stosowne rozporządzenia do głównego sztabu Wittgensteina i wszystko zawrzało w Tulczynie. — Kwatermistrzowstwo zajęło się natychmiast określeniem punktów strategicznych, mających wchodzić w system ogólnych ruchów manewru. Powyższe punkta, znacznie pomiędzy sobą odległe, zajmowały niemal 1/3 Podola. Główną rolę na planie grały Tulczyn, Bracław, Klewań, Stepaszki, i kilka wsi w pamięci mojej zatartych. — W miejscach najwięcej malowniczych tych osad, przygotowano prześlizne pałacyki, gustownego rysunku, dla cesarza i jego świty. Były to budowle z drzewa, misternie słomą oplecione, w gzymsy, arabeski, desenie, i tak lekkie, eteryczne, że lada podmuch zdawał się dostatecznym, żeby je unieść w powietrze.

W pierwszych dniach sierpnia 1823 r. armia zaczęła się koncentrować około Tulczyna. — Poczciwe obywatelstwo nasze, codziennem próżniactwem znudzone, rade przypatrzyć się cesarzowi i pogawronić na świetne tryumfy manewrujących rycerzy, pociągnęło z familiami, w karetach, landarach, koczach, bryczkach, do Tulczyna i Bracławia, gdzie się pomieściło, z kucharzami, niańkami, mamkami i całą fagaseryą, w mieszkaniach wysoką ceną opłaconych. — Nie jedno tylko Podole takiem się bohaterstwem odznaczyło. — Wołyń i Ukraina, w równym stopniu militarnie usposobione, także wyruszyły na manewry. Byłem też i ja na tych godach z rodziną Saruckich i z moim nauczycielem Gussekiem. Główne nasze *pied à terre* obraliśmy w Bracławiu pod gościnnym dachem p. Franciszka Rutkowskiego, przyjaciela domu naszego, człowieka słynnego u nas biegłością jurydyczną, gruntownym rozumem i nieposzlakowanym charakterem. — On rządził wtedy starostwem bracławskiem, z ręki jenerała Kozłowskiego, którego ojcu król Stanisław August, nadał tę emfiteuzę na lat 50, a cesarz Paweł na drugie 50 przedłużył. — Dziwnym się dzisiaj wyda zapewne ten ogólny poryw polskiej szlachty ku widowiskom tego rodzaju na scenie popisów armii moskiewskiej, *ergo* nieprzyjacielskiej, której by u nas obecnie nikt i widzieć nie chciał. Okoliczność ta daje się jednak tem tłómaczyć, że cesarz Aleksander był w naszych prowincyach ogólnie lubiony, w zamian za grzeczność swoją i łagodne obchodzenie się z krajem. — Inny go jeszcze urok otaczał, a mianowicie, wskrzesiciela narodowości polskiej i jej opiekuna. Panie nasze zwłaszcza były nim oczarowane. Taki *aimable*, układny, uprzedzający, a przytem cesarz, hojnie szafujący bogatymi dary kolców, naszyjników, broszek i branzoletek brylantowych! — Na ton kornej dworszczyzny nastrojona, mogłaż płeć piękna nie wywrzeć przeważnego wpływu na płeć brzydką, powodującą się zwykle, mimo swej pretensyi do rządzenia światem, fantazyą imości lub imościanki? — Jakoż, stało się i wtedy według ogólnej reguły... Imość kazała — jegomość posłuchał — pojechali!

Kiedy cesarz przybył do Tulczyna, miał w orszaku swoim, jenerał-adjutantów Dybicza, Czernyszewa, i Ożarowskiego, tudzież baroneta Wylye, poufnego lekarza swego. — Pierwszy był szefem głównego sztabu cesarza, z atrybutami wojennemu ministrowi służącymi, albowiem ta posada nie była wtedy zajętą. Co do funkcyi Czernyszewa i Ożarowskiego, takowe nie były żadną służbową specyalnością określone. Figurowali oni w charakterze tutumfackich cesarza i zręcznych wykonawców jego woli, jakiejby natury nie była.

Przytomność cesarza pośród armii była dla spiskowych nadto pomyślnem zdarzeniem, żeby z niej skorzystać nie zechcieli. — Sama ofiara oddawała się im w ręce. Jakoż podwoili działalność swojej propagandy dla pomnożenia prozelityzmu pomiędzy oficerami najwięcej na żołnierzy wpływu mającymi, jak gdyby mógł istnieć wtedy wpływ jaki, coby potrafił strącić żołnierza ze stanowiska ślepej czci dla cara, i wierność jego nakłonić ku zdradzie. Trudno pojąć prawdziwie taką nieznajomość moralnego elementu armii w ludziach, co z nim w codziennej styczności zostawali. Nie tylko massalny bunt wojska przeciw monarsze był w owym czasie niepodobieństwem, lecz i jednostkowe zgwałcenie poddańczej wierności nie było w sferze prostych szeregowców możebnem. — Skutki dowiodły jasno to moje twierdzenie; bo kiedy, po odkryciu spisku i pochwyceniu Pestela, dowódzca Czernigowskiego pułku piechoty, Murawiew-apostoł, zechciał, ratując sprawę spiskowych, zbuntować pułk swój, i wystąpiwszy z nim w pole pod Wasylkowem, ogłosił wobec uszykowanego frontu nowy ustrój państwowy, bez cara na czele, żołnierze krzyknęli jednogłośnie, że te słowa swego naczelnika mają za żart, albowiem nie pojmują państwa bez cara; kochają tego, co im obecnie panuje

*

i jeżeliby wiedzieli, że jemu niebezpieczeństwo jakie zagraża, stanęliby wszyscy w jego obronie. *)

Bądź co bądź, spiskowi robili swoje, a Bóg rozporządzał inaczej.

Przegląd ceremonialny pod Tulczynem był doprawdy wspaniałym. Nieoswojony z takiemi massami wojska zgłupiałem od podziwu. — Wtedy to przypatrzyłem się z bliska cesarzowi Aleksandrowi. Siedział na koniu gniadym, anglizowanym, z militarną fantazyą, chociaż w twarzy jego dobrodusznej i łagodnej nic militarnego nie było. — Przy nim, Wittgenstein — za Wittgensteinem, jenerał Kisielow — z przeciwnej strony na krok za cesarzem, Dybicz — z tyłu Czernyszew i Ożarowski... W tłumie wojennej świty kilku obywateli na koniach i Henryk Tyszkiewicz, mój krewny, w polskim mundurze strzelców konnych, ale bez szlifów, bo już był w dymisyi, i świeżo został Lipowieckim powiatowym marszałkiem. Cywilny gubernator Podolski, Mikołaj Grocholski; marszałek gubernialny, Konstanty Przezdziecki i jenerał Bachmetiew bez nogi, stali na ustroniu. — Aleksander Potocki, **) adjutant Wittgensteina często podjeżdżał konno do nas i bąknąwszy coś damom, znowu odjeżdżał na swoje miejsce. Aleksander Błędowski, ***) powinowaty naszego domu, rycerz duchem i zasługą w ojczystych szeregach, harcował w szpryngłach i woltach koło nas. — Wincenty Sarnecki, zagorzały napoleonista, zuch do lancy i do szabli, także się przy nim w kurbetach uwijał. Obydwa byli w polskich mundurach jazdy, a legia honorowa świeciła im na piersiach. — Kędy oko sięgało, wszędzie karety, landary, kocze i bryki. Były tam i piękne anglizowane cugi *à longs guides*, i eleganckie zaprzęgi *a la Daumont*, i na zgłodniałych szkapach pseudo-krakowskie szory z ex-malinowym łachmanem na boku, i tęgie szóstki w chomontach, według moskiewskiej normy, i lotne trójki w dorożkach, z rysakiem w środku i z osłami po bokach, i pary ekonomskie, z opasłą imością w taradajce i z gawronem Hryciem na koźle, a z wszystkich tych wehikułów powiewały barwiste welony, wyglądały kapelusze, parasoliki jaskrawe, rzekłbyś kwitnące maki na grzędach. Były to bogate ramy żywego obrazu, co taką ogólną ciekawość wywołał, kraj cały poruszył i do koczującego życia zniewolił. — I jam też płacił jemu dań hojną ciekawości mojej, bo lubiłem gawronić na wojsko, niezależnie od narodowości do jakiej należało; lubiłem te ruchy raźne i strojne mas zbrojnych, dzielne konie, świecące oręże, muzyki marszowe na czele. Wyobraźnia znajdywała w tem wszystkiem plon obfity dla mar szalonych, któremi łudziłem chłopięce moje nadzieje. Jakiej treści były te nadzieje? Nie pamiętam...

Pod koniec przeglądu zdarzyło się tak, że dwóch sztabowych oficerów, wyjechawszy z tłumu świty, posuwało się pomału ku wojskom, co się po defiladzie na jednym z krańców placu masowały. Jadąc koło nas, jeden z nich rzekł do swego towarzysza:

—Pułk Murawiewa przemaszerował, dyabeł wie po jakiemu. Car był niekontent. Słyszałem od Licharewa.

Gdy się oddalili, zamyślałem się. — Te dwa nazwiska wymówione dopiero trąciły pamięć moją, jak dwie elektryczne iskry. — Słyszałem je na galeryi u Kirjakowych w Odessie. — A więc, ten Murawiew i ten Licharew są tu, w szeregach wojska!... Przypomniałem sobie i to jeszcze, że (według treści tajemniczego dyalogu na tejże galeryi) Murawiew i Licharew, opierali się myśli wytępienia dynastyi... Więc, ów spisek był przeciw dynastyi — co znaczy przeciw cesarzowi? Więc tedy są tacy, co chcą wytępić dynastyę. — chcą zabić i cesarza...

Nagle zrobiło się jasno w mej głowie. — Przejrzałem w strasznej tajemnicy i cień żałobny opadł na scenę, której widzem byłem. Każdy ruch wojska, każdy głos komendy, lub okrzyk szeregów witanych przez cesarza, przenikały mię trwogą niewypowiedzianą. — Zdawało mi się, że się już rozruch zaczyna, bunt roznieca i chwilę zbrodni przybliża. Kiedy mię pytano, dlaczegom taki drżący i blady? odpowiadałem kłamstwem, bo prawdy wyrzec nie śmiałem — nie mogłem!... Żadne groźby nie wydarły by ze mnie tajemnicy, której wyjawienie uważałem za podłość i hańbę. — Drżałem ja wprawdzie o życie cesarza, lecz on był jeden, a tamtych wielu być musiało — może tysiące. Więc tysiące familii pogrążyłbym w żałobie! Nie! pomyślałem — ust nie otworzę! Stanie się, co Bóg zechce i jak zechce!

Nie! pomyślałem — ust nie otworzę! Niech tajemnica umrze zemną razem!

I dotrzymałem słowa. Umarły prawie dla świata, teraz dopiero sprzeniewierzam się słowu, kiedy już tem nikomu zaszkodzić nie mogę.

W parę dni potem rozpoczęły się manewry w rejonie bracławskiego powiatu. Mówiłem wyżej, że drugą armię Wittgensteina składały dwa korpusy 6sty i 7my, Rudziewicza i Sabaniejewa, starych jenerałów okurzonych prochem napoleońskich wojen. Cesarz objął *nominaliter* komendę nad korpusem Rudziewicza. Jenerał Sabaniejew miał być jego adwersarzem.

Działaniom strategicznym tej udanej wojny wskazane były *a priori* kierunki, ruchy, punkta natarcia i odwrotu. Nic nie pozostawiono zdolnościom wodza, kromie posłuszeństwa. Ponieważ cesarz nie mógł nie być zwycięzcą, Sabaniejew musiał być pobitym *ex ordine*.

Z powodu rozdziału armii na dwie przeciwdziałające siły, koczujące obywatelstwo nasze podzieliło się także na dwa obozy. — Większy, wlókł się za korpusem Rudziewicza, zapewne *par courtoisie*, bo tam był cesarz. — Mniejszy, (i my w tej liczbie) szedł za Sabaniejewym.

Po całodziennem wałęsaniu się, na kilkumilowej przestrzeni, które wojujące hufy napełniły pyłem, dymem, łoskotem i sławą wielkich czynów swoich, przyszło nakoniec, między stronami do zawieszenia broni z uwagi głodu, znużenia i nadchodzącej nocy. — Cesarz rozłożył swój stan na lewym brzegu Bohu i oświecił rzęsistymi ognie biwaków. Sabaniejew stanął na prawym brzegu, wyższym od lewego, w punkcie przeciwległym stanowisku nieprzyjaciela. Pozycya cesarza, (jeżeli ją sam obrał) nie wiele robiła honoru jego militarnej biegłości. Naprzód, stał za blisko od swego adwersarza, bo nie więcej jak na pół mety jego bateryi. Następnie, stał stosunkowo nisko, pod samą wagą wystrzałów, co także było błędem. Boh płynący pomiędzy nim i nieprzyjacielem, nie zabezpieczał go wcale od napadu, jeżeli nie z frontu, to z boku, albowiem łatwo byłoby Sabaniejewowi zamaskowawszy fałszywą demonstracyą ruch obchodowy swoich flanków, rzucić w miejscu dogodnem pontony, przeprawić się pospiesznie, uderzyć z tyłu i z boku na cesarza, przyprzeć go do rzeki i rozbić na głowę. — Obaczymy, jak postąpił Sabaniejew.

(C. d. n.)

---

*) Murawiew upoił pułk i poprowadził ku Motowidłówce, gdzie go nagnał jenerał Rott z huzarami i rozbił na głowę, bo żołnierze ani się myśleli bronić. Tam był wzięty Murawiew.

**) Syn Szczęsnego.

***) Późniejszy jenerał powstania 1831 r.

CYD,

według Romancero Hiszpańskiego,

z przekładu Herdera

spolszczył

WŁADYSŁAW HR. TARNOWSKI.

CYD

pod FERDYNANDEM WIELKIM.

(Ciąg dalszy.)

4.

Łzy spadały, łzy gorące
Po obliczu starca żółtem,
Co za stołem siedząc swoim
Wszystko inne zapominał,
Tylko hańbę swą rozmyślał
I rozmyślał młodość syna
I grożącą mu niedolę,
I potęgę, co miał wróg!
Od nieszczęsnych stroni radość
I otucha i nadzieja;
Wszyscy z sławą powracają
W pełni szczęścia i wesela,
Lecz Rodryga tam nie widać.
Próżno wzrok zatoczył ojciec
W dali, z mieczem pod ramieniem
Skrzyżowawszy na pierś ręce...
Z dali rzewnie patrzy Rodryg
I rozsadza mu pierś serce,
Aż przypadłszy mu prawicę
Wstrząsł: — „O drogi starcze, jedz!"
Rzekł wskazując stół nakryty..
Wzmógł się strumień łez Diega,
— „Tyż o synu, ty mi niesiesz
„Takie słowo w onym dniu?"
— Tak, mój ojcze! i wznieś hardo
„Twe szlachetne dziś oblicze!"
— „Czy pomszczony honor domu?"
— „Ojcze! oto jego trup!..."
— „Siadaj przy mnie o mój synu!
„Chętnie z tobą będę jadł,
„Kto powalił tego męża
„Grom mieć musiał miast oręża!"
Klęcząc płakał Don Rodrigo
I całował starca dłonie;
Płacząc trzymał Don Diego
Piękną głowę syna swego.

5.

Krzyk i wrzawa, wrzaski, wycie,
Tętent koni, zbroic dźwięk
Brzmi na dworze króla w Burgos,
Aż się ludu bierze lęk.
Zstąpił z komnat w majestacie
Don Fernando, król wspaniały,
Wszystkie dwory i splendory
Za nim, jak od słońca lśniały...
W bramie stała, skamieniała
Rozpuściwszy aż do ziemi
Włos, Ximena, z żałobnemi
Szaty, w łzach do króla nóg
Padła: „Królu sądź jak Bóg!..."
A od wtórej strony
Don Diego trzystu mężów
Wiódł w orszaku. Don Rodrigo,
Dumny syn Kastylskich gór,
Zoczył z wszystkich ziemi cór
Najsmutniejszą, najcudniejszą!
Orszak jego był na mułach
A na koniu sam był — on!
I w piżmowych rękawicach
Cały orszak — tylko on
Miał rycerską rękawicę,
Wszyscy byli w złotogłowie
Tylko w zbroi z stali — on!
I gdy orszak lud zaoczył,
Jak Cyd młody koniem toczył,
Chórem ciśnie się, co żyło,
— „Patrz! pacholę, to sokolę
„Co z lwią siłą powaliło
„Don Gormaza!"
W koło spojrzał Don Rodrigo,
Spojrzał śmiało i surowo:
— „Jeżli jest kto pomścić skory
„Don Gormaza, niech wystąpi!...
„Konno, zbrojno — niech się stawi
„Czy to krewny, czy to druh!"
Wszyscy krzyczą: — „Niech się dyabeł
„Z tobą bije, jeżli chce!"
I skoczyło o ziem z mułów
Trzystu ciurów Don Rodriga
Ucałować dłoń królewską,
Lecz na koniu został — on!
— „Zleź Rodrigo i ucałuj
„Rękę króla", — rzekł Don Diego.
— „Kiedy każesz ojcze drogi
„Chętnie spełnię wolę twą!..."

6.

Kwef rozdarła swój Ximena
I ozwała się do króla:
Jak dwa źródła, czarne oczy —
Jakże piękną była w łzach!...
Jak schylona rosą róża
Stała drżąca pełna skarg
A rumieniec zapłakany
Cudnie krasił marmur warg...
— „Królu!" rzekła, „wielki królu!
„On go zakłuł, ten wąż wężów,
„Mego ojca mi, o królu
„Zabił!... bądź mi sprawiedliwy!
„Ojca mego z bohaterów,
„Co za pierwszym Chrześcyan królem
„Pelaginszem, jego sztandar
„Niosąc, ongi pociągnęli —
„Ojca mego! co swą piersią
„Jako murem słonił wiarę!
„Jego — postrach Al Manzorów,
„Jego — chwałę swej ojczyzny,
„Jego — co był pierwszym w kraju,
„Pierwszy klejnot twej korony!...
„Prawa tylko! nie litości!...
„Prawo stać się musi słabym!
„Nie wart, kto niesprawiedliwy
„By mu ziemia hołdowała,
„By królowa go kochała,
„Pocałunku nie wart jej!...
„A ty dzikich jędz potworze
„Cydzie! przeszyj i to łono!...
„Oto szatę drę!... zabijaj!...
„Bij!... a wzrokiem nie wymijaj!...
„Czemu córy byś nie zgładził
„Wziąwszy ojca z młodych lat!
„W piersi jej się nagromadził
„Nienawiści k'tobie świat,
„Co piekielnie gorzeć będzie!
„Dokąd żywam, zawsze, wszędzie
„Zemsty wzywam! niebios gromy,
„Wszystkie wołam! ziemi miecze,
„Wszystkie wołam!"
Milczał Cyd —
I skierował nagle konia
I zjechał wolno z tłumu
Wszech hetmanów i rycerstwa;
Czeka, żali za nim który

Nie pojedzie, ale żaden
Nie śmiał z miejsca ruszyć się.
Gdy Ximena to ujrzała
Woła głośniej jako furya:
— „Zemsty! zemsty! o rycerze
„Rękę oddam mścicielowi!“

7.

Siadł do uczty Don Fernando
W królewskiej w Burgos komnacie,
Gdy Ximena w czarnych szatach
We łzach do stóp mu przyklękła
I z pokorą, rozżalona
Tak do króla się ozwała:
— „Królu, biedna ja sierota
„Przyszłam szukać twej opieki —
„Oto zmarła moja matka
„Od zgryzoty i od sromu,
„Który mścić mi przekazała,
„Bo morderca jeszcze żyje!
„Nienawidząc, co dnia widzieć
„Muszę wyniosłego Lainez
„Co dnia konno pod mem oknem
„I na pięści z swym sokołem,
„Co mi dławi me gołębie!
„Oto królu na fartuszku
„Mym, patrz, mego najmłodszego
„Krew gołąbka... jego piórka...
„Często słowem go zgromiłam,
„Panie! patrz, co odpowiedział!
„Czytaj pismo, co dziś do mnie
„Dla szyderstwa on wyprawił:
„*Do Donny Ximeny.*
„Żalisz się, cudna, czarowna Syreno,
„Ximeno,
„Że co dnia sokół gołębia rabuje —
„Niechże twych ustek gołąb nie całuje.
„Pan towarzyszy swemu sokołowi,
„O! kiedyż szczęsny, ujrzy i pozdrowi
„Tę, której sokół i zawistne losy
„Tak zaleciły go źle, że niebiosy
„Oczu anielskich odeń odwróciła
„I chmurą kwefu na zawsze przyćmiła!“..
Gdy król pismo to odczytał
Zerwał się od stołu szybko,
Napisał do Don Diega,
I tajemnie wysłał list.
Próżno pragnie Don Rodrigo
Wiedzieć, co ten list zawierał.
— „O! na Boga i Madonnę,
„Nie dam ojcze, nie dam Tobie
„Tak samemu na królewski
„Ciągnąć dwór...“

(C. d. n.)

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg dalszy.)

V.

Rok 1830 jest zapewne w historyi naszego wieku jedną z najpamiętniejszych chwil, zapowiadającą najświetniejsze nadzieje, mającą niby naprawić wszystkie błędy i zbrodnie przeszłości, mającą przywrócić Francyi wolność polityczną, a Polsce niepodległość narodową. W naszym wieku zwątpienia, był to rok najsilniejszej wiary; w naszej epoce przewagi siły nad prawem, był to moment krótkiego tryumfu prawa nad siłą. Wszystkie usiłowania lat poprzednich dopięły na chwilę swego celu; zdawało się, że nowa era zacznie się dla ludzkości. Tymczasem nadzieje te były złudzeniem. Zaledwie Sizyf europejski zdołał skałę postawić na wierzchu góry, a już runęła i zrzuciła go na dół. Francya nie umiała skorzystać z odzyskanej wolności, Polska nie umiała odzyskać straconej niepodległości,

I coraz podlej na tej ziemi było!

Jednak w tej przepaści, którę tak po mistrzowsku odmalował autor, „Przedświtu“ i „Niedokończonego Poematu“, w tem piekle ucisku i zmateryalizowania, narody o których mówimy, znalazły także pocieszycielkę. Mogły i one zawołać:

„I ja też miałem Beatryxę moją.

Tą Beatryxą była ta sama poezya, która zabłysnąwszy wśród chmur poprzedniej epoki, nie przestała przyświecać po upadku zwodniczych nadziei ludziom dobrej woli.

Ale poezya ta odmienny przybrała charakter, a tak we Francyi jak w Polsce, bo emigracyę ówczesną uważamy, jak ktoś powiedział, za prowincyę Polski; rozwijając własnego ducha, nie troszczyła się już tyle o formę, jak o rzecz samą, nie myślała już o walce przeciw pokonanemu zresztą klasycyzmowi, ale o przysłużeniu się niezmierną siłą swoją to sprawie ludzkości, to sprawie narodu. Rozszerzyło się jej pole, zstąpiła z wysokości na ziemię, pokazała się między ludźmi, starała się ich oświecać i pokrzepiać, stała się jeżeli nie ciałem, to przynajmniej żywem i wojującem słowem.

We Francyi zaraz w pierwszych miesiącach po rewolucyi wychodzą *Jamby* Barbiera, a w następnym roku pokazuje się *Némésis* Barthélémego. Béranger zawsze śpiewa, ale poważniej; K. Delavigne dodaje kilka pieśni do dawnych *Messéniennes*, a między innemi *Paryżankę i Warszawiankę*. Powstanie polskie jest jednym z ulubionych przedmiotów tej poezyi pierwszych lat. Béranger zachęca ziomków do obrony braci z północy; Barbier piętnuje dzieła mordercze cara moskiewskiego, tego ojca śmierci, wojny i dżumy; Barthélémy następnie wita nadchodzącą emigracyę. Polska i liberalizm lub republikanizm służą od razu za podwójne hasło tym najwierniejszym przedstawicielom opinii, której głos urzędowy odpowiada niestety! z mównicy: porządek panuje w Warszawie.

Ale nawet inni poeci, nietylko ludowi, zstępują ze sfer idealnych. Lamartine nie przestaje już na opiewaniu natury, kobiety i Boga, ale w poemacie swym p. t. *Jocelyn* broni *tezy* socyalnej, walcząc przeciw bezżeństwu księży, nie potępia już tak nieoględnie rewolucyi francuzkiej, staje się liberalniejszym, aż z czasem opuszczając zupełnie poezyę, po wydaniu poematu *la Chute d' un ange* zostanie politykiem i historykiem, przyspieszy rewolucyę r. 1848 i będzie jednym z naczelników nowej Rzeczypospolitej. W poezyach jego styl nie jest już tak czystym, tak poprawnym, tak śpiewnym jak poprzednio. Przeźroczysty strumyk stał się potężną rzeką, często wzbierającą i niszczącą tu i owdzie niektóre przesądy, niektóre przeszkody tak dawniej przez poetę uszanowane: zarzucają mu krytycy realizm, i w istocie rzeczywistość go nęci, chce się poecie jej dotknąć, aż nareszcie uczyni to, o czem inni poeci tylko pisali:

Czas uderzać w stronę drugą,
W czynów stal!

Wiktor Hugo, ów naczelnik romantyków, ulega takimże wpływom: romantyzm znaczy już tyle, co liberalizm. Walka przeciw przestarzałym prawidłom estetycznym jest dopiero początkiem walki przeciw innego rodzaju przesądom i jarzmom. Nadaremnie jest on zaszczycony tytułem *Pair de France*; nadaremnie wchodzi do drugiego poważnego zgromadzenia akademii francuzkiej. Konserwatyści przyjęli do swego grona rewolucyonistę. Jako poeta liryczny w *Orientales*, w *Feuilles d' Automne*, w *Chant du Crépuscule*, prowadzi dalej reformę zaczętą w odach i balladach, ale z innego już źródła czerpie natchnienie. Nie broni już tronu i ołtarza, ale, szczególnie w ostatnim zbiorze, dotyka się wielkich zagadnień społecznych, ulega wpływowi doktryn socyalistycznych. Nie przestaje jednak w utworach uczuciowych, mianowicie mających za przedmiot wiek dziecięcy, (we „*Feuilles d' Automne*“) być samym sobą. W dramatach (*Le Roi s' amuse*, *Lucrèce Borghia*, *Marie Tudor*, *Marion Delorme*, *Ruy-Blas*, *les Burgraves*) nie idzie mu wyłącznie o połączenie tragedyi z komedyą, o przeciwstawienie piękności z brzydotą, jednem słowem o te kontrasty, które są największą zaletą i największą wadą tych wszystkich utworów, ale podkopuje zarazem wiarę w królewskość, wiarę w papieztwo, jest nietylko literackim reformatorem, ale i politycznym rewolucyonistą. Obdarzony siłą olbrzymią, niemniej olbrzymią śmiałością, sięgający zawsze tam, gdzie nikt nie sięgał, a często szczęśliwie, należy on do tej rodziny niezmordowanych Tytanów zdolnych *Pelion imponere ossae*, jakimi przed nim byli Rabelais, Molière, Voltaire, a w sferze politycznej Mirabeau i Danton. I on, jak Lamartine, będzie, skutkiem literackiej propagandy, wybranym na reprezentanta Paryża w r. 1848, ale polityka nie zabije w nim poety. Po zamachu grudniowym będzie jeszcze pisał, a *Contemplations*, *Châtiments*, *Légende des Siècles*, nie mówiąc już o ostatniem jego dziele *l' Année Terrible*, ani o powieściach, są dowodem tej nadzwyczajnej, nadludzkiej siły, która nietylko, że nie zmniejsza się z latami, ale owszem zdaje się coraz bardziej rosnąć.

Lamartine i Hugo byli więc od r. 1830 do 1848 poetami przeważnie politycznymi, wtórowali mowom posłów stronnictwa liberalnego, przygotowywali, może nie wiedząc o tem, rewolucyę i rzeczpospolitą. Nie potrzebujemy dodawać, że poezya polityczna nie jest tem samem, co poezya narodowa; że bronienie zasad stronnictwa chociażby najliberalniejszego nie jest tem samem, co opiewanie ojczyzny i budzenie w duszach patryotyzmu. O tem nikt wówczas we Francyi nie myślał; mając siebie za największy naród w świecie i jakoby za świat cały, Francya w chauvinizmie swoim wpadała w kosmopolityzm i przygotowywała sobie nieszczęścia, o których się jej ani marzyło.

Dążenia tego wspólnego całemu narodowi nie podzielał jednak jeden z największych poetów francuzkich owego czasu, w którym łatwiejby było odszukać patryotyzm, jak echa politycznych utarczek. Był nim już wspomniany w poprzednim okresie Alfred de Musset.

Zaznaczyliśmy zmianę, jakiej ulegli wszyscy poeci romantyczni po roku 1830. Nikt jednak nie przemienił się tak gruntownie, jak Alfred de Musset; nie stał się on wprawdzie apostołem jakiegokolwiekbądź stronnictwa politycznego, miał do polityki wstręt niezwyciężony; ale ów żartujący ze wszystkiego tak dowcipnie i tak nieoględnie, spoważniał teraz nagle i zaczął pisać krwią z pod serca, różniąc się od wszystkich współczesnych pisarzy, którzy jak dawniej szli pod sztandarem romantyzmu, tak teraz walczyli za liberalizm. On pozostał samym sobą, nie zaciągnął się do żadnego obozu, chodził samopas, opiewając własne boleści, własne zwątpienia, które wywołały oddźwięk w społeczeństwie zarażonem temi, co poeta, chorobami. Społeczeństwo to odmalował, malując tylko siebie samego. Dosyć przeczytać jego *Rollę*, ów dziwny poemat, który najlepiej streszcza całe jego dzieło poetyczne, aby się o tem przekonać. Ten Rolla, zabijający się z nudów, jest to Alfred de Musset; jest to także cała jego generacya. Charakterystykę poety znajdujemy naprzykład w tych wierszach:

Kiedy pośród pustyni klacz dziko błądząca
Już po trzech dniach pochodu czeka na dzień burzy,
By wypić wodę z nieba od palm zapylonych,
Słońce nad nią miedziane, a palmy w milczeniu
Pod skwarnem niebem długie spuszczają warkocze;
Ona swej studni szuka w pustyni niezmiernej,
Słońce ją osuszyło; na skale gorącej
Lwy z grzywą najeżoną zasnęły skomlące.
Siły jej upadają i nozdrza skrwawione
W piasek żółty zapuszcza, a piasek spragniony
Łakomie się napija kropel krwi bezbarwnej.
Wtenczas ona się kładzie: duże gasną oczy,
A matka jej, pustynia toczy na swem dziecku
Swojej fali milczącej całuny ruchome.
Ona bo nie wiedziała, kiedy karawany
Ze swymi przewodniki pod klony ciągnęły,
Że dosyć iść za nimi z pochylonem czołem,
Aby mogła w Bagdadzie chłodne znaleźć stajnie,
I drabiny złociste i kwiat koniczyny,
I studnie, do dna których słońce nie zajrzało.

Jeśli wszystkich z jednego Bóg nas stworzył błota,
Pewnie musiał ulepić z wyjątkowej gliny
I zawistnego suszyć promieniami słońca
Owe dziwne istoty, orła, czy jaskółkę,
Co ugiąć nie umieją ni skrzydeł ni karku,
A których jest majątkiem całym słowo: wolność!

Stan zaś społeczeństwa pozbawionego wiary przez filozofię XVIII wieku, a ginącego w nieokreślonej, bezbrzeżnej otchłani zwątpienia wymownie streścił także Alfred de Musset na początku tegoż poematu, kiedy zawołał:

A więc niech wolno będzie proch Twój ucałować
Najzuchwalszemu z synów wieku zuchwałego
I rozpłakać się, Chryste, nad tą martwą ziemią,
Która żyła z twej śmierci a umrze bez ciebie!
Bo teraz, o mój Boże, ktoż jej życie zwróci?
Tyś ją krwią niegdyś swoją najczystszą odmłodził,
Jezusie, coś ty zrobił, ktoż to kiedy zrobi?
Nas, nas, wczoraj zrodzonych starców—ktoż odmłodzi?

. . . .

Ziemia jest równie starą, równie obumarłą,
I smutnie głową wstrząsa równie rozpaczliwą,
Jak gdy się Jan pokazał po nad morskim piaskiem,
A ona konająca, na głos jego święty,
Dreszczem nagle przejęta, jak kobieta w ciąży,
Uczuła by świat nowy drgający w żywocie.

. . . .

Już Saturn wiecznie głodny wszystkie pożarł dzieci,
Ale ludzka Nadzieja, płodnością znużona,
Jej piersi już zranione tak długiem karmieniem:
Tej długowiecznej matce spoczynkiem bezpłodność

(C. d. n.)

W JESIENI,

komedya w jednym akcie

przez

Władysława hr. Koziebrodzkiego.

(Dokończenie.)

Scena XXIX.

GWALBERT (*sam*).

GWALBERT.

Co u dyabła to wszystko znaczy? (*po chwili*) Lecz domyśla się i nie każe tracić czasu... O tak Paulino! ja nigdy nadziei nie tracę... (*po chwili*) Jak Paulina wybada, dopomoże, przekona, tak, tak, panie Gwalbercie, będziesz jeszcze szczęśliwy! (*bierze flet*) Będę Sabince po całych dniach grywał na tym pięknym instrumencie... (*odkłada flet*) Ale gdzie Zygmunt? pewnie przy Sabince; przeszkodzić mu muszę. (*wychodzi*).

Scena XXX.

ANTONI.

(*przechodzi smutnie z półmiskami przez scenę.*)

ANTONI.

Walenty dał już na zapowiedzi. Masz panie Antoni! przepadła Anusia i jeszcze się wszyscy śmieją. Od godziny kogo tylko spotkam, każdy powtarza: „Panie Antoni! Walenty dał na zapowiedzi!“ (*wychodząc*) „Panie Antoni! Walenty dał na zapowiedzi!“ (*wychodzi*).

Scena XXXI.

ZYGMUNT (*sam*).

ZYGMUNT.

Oczarowała mnie! a jaka dla mnie grzeczna, jaka uprzejmna... to dobry znak! znam się na tem.. (*idzie przed zwierciadło*) Dlaczegoby nie? jeżeli już nie to, co było przed... przed... prawdę mówiąc... przed dwudziestu laty, to jednak jeszcze podobać się mogę! (*po chwili*) Aj! znów zaczyna boleć. Jak się wszystko ułoży, to pojadę do doktorów — do Wiednia i zwołam wielkie consilium. (*po chwili*) Mogę się jeszcze podobać i widocznie podobałem się jej... Żadna jeszcze nie była taka urocza, jak ona... Trochę Iza... nie — może więcej Ludwika albo — Helena... (*siada*) człowiek będzie już żył spokojnie i wygodnie.. (*po chwili śmiejąc się*) Dobry ten Gwalbert... ze swoim zamiarem!... Ha! ha! ale mu dopiero w drogę zajdę... ha!... ha!... To się śmiać z niego będę... zostanie starym kawalerem i będzie się piszczałką pocieszał... ha!... ha!...

Scena XXXII.

ZYGMUNT, SABINA.

SABINA (*wchodząc*).

Kuzynku, Katarzyna powiedziała mi, żeś ty słaby, słaby ciągle, że jeździłeś do Krakowa, do doktorów, że tu doktorzy przyjeżdżają...

ZYGMUNT (*zmięszany*).

Tak, byłem słaby dawniej...

SABINA.

Ona powiedziała, że jesteś dotąd słaby... Niedobry... O! przyjedziesz zaraz do Gorowic. Mama tak lubi kuzynka, będziemy cię obie pielęgnowały, doglądały...

ZYGMUNT (*na stronie*).

Co za skarb!...

SABINA.

Bo ja umiem doglądać chorych; we Lwowie, to guwernantce francuzkiej, która często chorowała nikt tak nie umiał dogodzić, jak ja...

ZYGMUNT (*na stronie*).

Boże! to żona stworzona dla mnie...

SABINA.

Więc przyjedziesz do Gorowic? prawda, że przyjedziesz?

ZYGMUNT.

O kuzynko! jesteś tak dobrą... tak...

SABINA.

Przepraszam, ja nie jestem dobrą.

ZYGMUNT.

Ty? to niepodobna...

SABINA (*na stronie*).

Boże! nie wiem jak zacząć... (*głośno*). Niedobrą jestem, bo prędką, upartą, oh! upartą bardzo...

ZYGMUNT.

Nie wierzę!

SABINA.

Tak upartą, że... (*na stronie*) Ja nie potrafię nigdy a muszę...

ZYGMUNT.

Tyś skarb... skarb, który...

SABINA.

(*niesłuchając na stronie*).

Jak tu zacząć? (*głośno*) Kuzynku, którę ty literę najwięcej lubisz?

ZYGMUNT.

A ty kuzynko?

SABINA (*pomięszana*).

Ja... Z...

ZYGMUNT (*na stronie*).

Czarująca naiwność, to widocznie do mnie... (*głośno*) A ja... S...

SABINA.

S... S... a niedobry z ciebie!...

ZYGMUNT.

O! nie?... (*na stronie*) Wybadam ją pierwej. (*głośno*) A Z dlaczego?...

SABINA.

(*pomięszana na stronie*)

Ja tak nie śmiem powiedzieć.

ZYGMUNT.

Jabym może odgadł?

SABINA (*wesoło*).

Odgadłbyś!... o kuzynku! ja ci dopomogę, odgadnij tylko...

ZYGMUNT (*z intencyą*).

To może cyfra imienia czyjegoś?

SABINA

(*rumieniąc się, spuszcza oczy, cicho*)

Tak!...

ZYGMUNT.

Zgadłem?

SABINA (*odwraca się*).

Mów dalej!

ZYGMUNT.

Kogo?... co?... co może...

SABINA.

Prędzej, prędzej!

ZYGMUNT.

Byłby najszczęśliwszym z ludzi, gdyby mógł...

SABINA.

Dalej, dalej...

ZYGMUNT (*mięsza się sam*).

Który oddawna, który całe życie swoje... który całe życie swoje... który wszystko poświęciłby... (*na stronie*) Do dyabła! nie idzie... (*głośno*) Który chociaż nie w pierwszych latach wiosny...

SABINA (*żywo*).

Ale gdzie tam!...

ZYGMUNT.

Jest jednak pełen uczuć młodości i wszystkie te uczucia złożyć pragnie u nóg...

SABINA (*żywo*).

Tak!... tak!...

ZYGMUNT.

I błagać...

SABINA (*na stronie*).

Zkąd on wie?

ZYGMUNT.

A dalsze litery są Z... y...

SABINA.

(*żywo zasłaniając twarz.*)

Zbigniew!...

ZYGMUNT (*odskakując*).

Zbigniew! jaki Zbigniew?

SABINA (*żywo*).

Syn Cioci Karolci...

ZYGMUNT (*w rozpaczy*).

A!...

SABINA (*bardzo żywo*).

Więc teraz, kiedy wiesz wszystko kuzynku, to ci powiem wszystko... on mi powiedział, że mnie kocha, powiedział to mamie, a mama powiedziała, iż nam pobrać się jeszcze nie pozwoli, że poradzi się pierwej ciebie kuzynku i kuzynka Gwalberta, jako najstarszych w rodzinie...

ZYGMUNT (*na stronie*).

Fatalnie...

SABINA.

Poradzi się was, czy się pobrać możemy.

ZYGMUNT (*na stronie*).

To dlatego Marya mnie zapraszała... fatalnie!...

SABINA.

A on mi powiedział, że umrze z tęsknoty za mną, i ja umrę, jak mi mama za niego iść nie pozwoli — umrzemy oboje... Dlatego kuzynku ja cię błagam, jeżeli nie chcesz, żebym umarła, to jak mama będzie cię pytać, powiedz jej, żeby jak najprędzej pobrać nam się pozwoliła.

ZYGMUNT (*udając*).

Ha!... ha!... jaka to z ciebie dyplomatka kuzyneczko... ha!... ha!..

SABINA.

O! kiedy już wiesz wszystko, to mi taki ciężar spadł z serca... Zrobisz... zrobisz to, prawda?

Scena XXXIII.

SABINA, ZYGMUNT, GWALBERT.

GWALBERT (*na stronie*).

Sami! w samą porę przyszedłem...

ZYGMUNT.

Ha! ha!... Gwalbercie, żebyś wiedział, Sabinka...

SABINA (*przerywając*).

O, nie mów teraz przy mnie, lecz później!

Scena XXXIV.

SABINA, ZYGMUNT, GWALBERT, PAULINA.

PAULINA.

(*wchodząc zatrzymuje się chwilę, waha, chce cofnąć, lecz wraca, na stronie.*)

Niech się już dzieje!... trzeba mu skrócić męczarnie niepewności! (*cicho do Gwalberta*) Gwalbercie mój!...

GWALBERT.

I cóż?

PAULINA (*cicho*).

Mówiłam ci: „nie trać nadziei“ i nadzieja twoja spełniona...

GWALBERT (*cicho*).

Czy być może?

SABINA.

(*cicho do Zygmunta*)

A więc prawda kuzynku, ty to zrobisz?

PAULINA.

(*cicho do Gwalberta.*)

I czyż można się wahać? Tem więcej, o wierzaj mi, iż dziś powiedzieć ci mogę, żeś już od lat dziesięciu obudzał...

GWALBERT.

(*do Pauliny zdziwiony*)

Jak to od lat dziesięciu?...

ZYGMUNT (*na stronie*).

O! jaszczurka mała... tegom się nie spodziewał...

PAULINA (*do Gwalberta*).

Cicho! na Boga panuj nad sobą! za nim świat się dowie... potrzeba, wymagam, żądam, abyś pierwej udał się do Gorowic do Maryi... dla przyzwoitości...

GWALBERT (*cicho*).

Nie rozumiem cię...

PAULINA.

Bo Marya jest jak drugą matką...

GWALBERT (*zdziwiony*).

Jak to u dyabła drugą?

PAULINA (*cicho*).

O tak! drugą matką! bo choć niewiele starsza odemnie... ona mnie przytuliła sierotę...

GWALBERT.

(*w rozpaczy pada na krzesło, na stronie*)

Wzięła do siebie... A! to kabała!

PAULINA.

Gwalbercie! co ci jest mój Gwalbercie! panuj nad oznakami szczęścia, tak jak ja panuję! bądź mężnym!

SABINA (*do Zygmunta*).

Więc powiedz wszystko kuzynku Gwalbertowi i przyjedźcie jutro obydwaj... ale jutro rano...

Scena XXXV.

PAULINA, SABINA, ZYGMUNT, GWALBERT, ANTONI.

ANTONI.

Już powóz naprawiony, furman zajechał.

SABINA.

A co cociu? jeszcze będziemy na czas w Gorowicach...

GWALBERT (*na stronie*).

A to kabała! co robić?

PAULINA.

Prawda... (*cicho do Gwalberta*) Gwalbercie panuj nad sobą...

SABINA.

Widzisz cociu kochana, że nie było się czego martwić!

PAULINA.

O! prawda! co za dzień!

ZYGMUNT (*na stronie*).

A piękny!

GWALBERT (*na stronie*).

Piękny mi dzień!

ZYGMUNT (*na stronie*).

Tak umie pielęgnować słabych, to żona! to była żona dla mnie!...

GWALBERT (*na stronie*).

To pierwsza kobieta mi się oświadczyła, tym razem mam pewność przynajmniej...

SABINA.

A więc w drogę... Do widzenia jutro w Gorowicach kuzynku! (*cicho*) Od ciebie wszystko zależy, a jak nie, to umrę...

PAULINA (*na stronie*).

Tak mi ztąd tęskno wyjeżdżać!

GWALBERT.

(*patrząc na Paulinę*)

Piękna — nie bardzo i młoda nie bardzo! ale raz trzeba skończyć... oświadczyła mi się sama...

PAULINA.

(*cicho do Gwalberta*)

Gwalbercie obudź się z zadumy szczęścia...

GWALBERT.

(*walcząc na stronie*)

Raz trzeba skończyć... chociaż ma wady, ale się przecież ożenię. (*po chwili*) Niech się dzieje... (*do Pauliny cicho*) Daj rękę! jutro będę w Gorowicach i ślub nasz niech się odbędzie jeszcze przed zimą... a potem...

PAULINA.

(*udając pomięszanie*)

O! Gwalbercie tak prędko, w jesieni!...

GWALBERT (*cicho*).

W naszym wieku nie ma już co odkładać...

ANTONI.

(*podając płaszcze*)

Są płaszcze...

SABINA.

A więc do widzenia. (*ubiera się*)

PAULINA (*cicho*).

Gwalbercie serce moje tak...

GWALBERT.

(*podając płaszcz*)

A uważaj, żebyś się nie przeziębiła, bo to jesień...

SABINA.

(*do Zygmunta podając rękę*)

Do widzenia jutro...

PAULINA.

Bądź zdrów Zygmuncie, bądź zdrów Gwalbercie (*cicho*) mój! (*wychodzą wszyscy.*)

Scena XXXVI.

(*Chwilę scena pusta.*)

ZYGMUNT, GWALBERT.

(*wracają i chwilę zamyśleni chodzą po scenie*)

ZYGMUNT.

(*staje przed zwierciadłem*)

A przecież jeszcze dobrze wyglądam i mogę się podobać! jeszcze się podobam... A jaszczurka mała, jak się to jej spieszy wyjść za mąż!... (*chwyta się za ramię*) A! boli...

GWALBERT (*do siebie*).

Trudno przebierać, niech się już raz skończy... taki to los starych kawalerów...

ZYGMUNT (*do siebie*).

Zakochana! no spóźniłem się trochę... gdyby nie to! (*zaczyna chodzić głośno*) Brzydka jesień...

GWALBERT (*na stronie*).

Nie powiem mu dziś, że się żenię z Pauliną, śmiałby się ze mnie a gotów i odsadzić (*chodzi*).

ZYGMUNT.

(*spotyka się z Gwalbertem, patrzą na siebie chwilę i śmiać się zaczynają.*)

No! kończmy naszą partyę...

GWALBERT (*na stronie*).

Nie powiem mu dziś. (*głośno*) Możebyś posłuchał, tobym na flecie...

ZYGMUNT.

A dajże pokój z piszczałką.

GWALBERT.

Jestem dziś w tak niezwykłem usposobieniu, każ dać starego węgrzyna...

ZYGMUNT.

Szaleństwo pić węgrzyna o tej godzinie, doktor powiada, że węgrzyn...

GWALBERT.

Co doktorzy wiedzą!

ZYGMUNT.

Siadaj i graj.

GWALBERT.

No! dla ciebie...

ZYGMUNT.

(*siada, mięsza karty i chwyta się za ramię.*)

Fe! boli... oj! ta jesień...

GWALBERT.

Tak, jesień — jesień panie Zygmuncie! brzydka to pora roku, tem więcej, jeźli wiosna i lato zmarnowane. (*grają*).

K O N I E C.

O przywilejach i ceremoniach

w świecie dyplomatycznym,

napisał

dr. GUSTAW ROSZKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Dwa są główne przywileje służące członkom ciała dyplomatycznego, mianowicie przywilej nietykalności osoby posła i przywilej zakrajowości czyli t. z. prawo exterytoryalności. Są to przywileje szanowane dziś we wszystkich państwach cywilizowanych, jakkolwiek żadne pozytywne ustawodawstwo nie nadało ich. Utrzymują się one tylko potęgą moralnej swej zasady i siłą rozumnego zwyczaju, który je uświęca, gdyż to, co niektórzy autorowie podają jako *Immunités accordées par l' Empereur aux Ambassadeurs* nie ma realnej podstawy.

Przywilej nietykalności zapewnia posłowi osobiste bezpieczeństwo zarówno ze strony dworu, przy którym jest on uwierzytelnionym, jak i ze strony poddanych obcego państwa, tak dalece, że zniewaga posła od wieków, nawet u ludów niecywilizowanych uważaną była za zniewagę zarówno państwa, którego jest reprezentantem, jak i panującego, od którego jest upełnomocnionym. Wszelka obelga wyrządzona osobie posła jest zawsze daleko surowiej karaną, niżeli znieważenie kogobądź innego, gdyż stawianą jest na równi ze zbrodnią stanu, a nadto państwo posła ma prawo żądać od państwa, w którem tenże przebywa, zadośćuczynienia, a gdy to odmówionem zostaje, mogą być przedsiębrane represalia, a nawet kroki wojenne. Przywilej nietykalności osoby posła rozciąga się do jego rodziny, do członków poselstwa, jak sekretarza ambassady, *attaché*, tudzież do jego orszaku, jak kawalerów ambassady, paziów, kuryerów itp., wreszcie do wszystkich rzeczy złączonych z jego osobą i przywiązanych do jego godności, a mianowicie, do jego domu mieszkalnego, zawartych w nim mebli, ekwipaży, listów itd. Pomimo jednak, że zarówno ludy starożytne, uważając posłów zostających pod szczególną opieką Bogów, szanowały w zasadzie ich nietykalność, jak niemniej ludy nowożytne powagą prawa narodów zasadę tę otoczyć się starały, jednak spotykamy w historyi przykłady jej pogwałcenia. W r. 1658, w czasie wojny szwedzko-duńskiej, poseł szwedzki Coyet był przez ośm dni więziony w Kopenhadze, a w Turcyi długi bardzo czas istniał barbarzyński zwyczaj więżenia posła nieprzyjacielskiego państwa w zamku zwanym „Siedm Wież" pod pozorem zasłonięcia go od napaści ludu, tudzież jako zakładnika dla pewności wykonania traktatów.

Przywilej zakrajowości (czyli exterytoryalności) zapewnia posłowi stanowisko niezależne od władz państwa, w którem spełnia swą missyę, a to dlatego, że poseł w obcem państwie uważa się jak gdyby swojej ojczyzny nie opuścił i ciągle się w niej znajdował, a tem samem nie podlega obcym władzom, ale korzysta z praw służących mu w jego ojczyźnie, a więc podlega jurysdykcyi sądów swego kraju, wykonywa swój kult religijny i t. d. Wypływem tej zasady jest to, że n. p. poseł londyński zmarły w Paryżu uważa się za zmarłego w Londynie i tamże otwiera się pozostały po nim spadek, a dzieci jego urodzone w Paryżu uważają się za przyszłe na świat w Londynie.

W skutek przywileju zakrajowości posłowie dyplomatyczni używają następujących, szczególnych praw:

Wolności domu mieszkalnego, który choć położony na terytoryum obcego państwa, uważa się za stojący na terytoryum ojczyzny posła i dlatego rewizya władz miejscowych w jego obrębie dokonaną być nie może, wyjąwszy, gdy są wszelkie prawne poszlaki, iż w nim dokonywują się knowania bytowi państwa zagrażające. Natenczas wszakże poseł powinien być uwiadomiony o podejrzeniu, które spada na jego dom i może uwolnić się od wtargnięcia władz rewizyjnych dostarczeniem rękojmi, że żadne knowania w jego domu się nie odbywają. Posłowie dyplomatyczni pierwszych dwóch klas wywieszają herby swoich państw nad swymi domami, na znak ich nietykalności.

W r. 1749 francuzki poseł w Genui używał dziwacznego przywileju: niedozwalania miejscowej policyi przechodzenia koło swego domu. Dziś to już nie istnieje.

W historyi nierzadkie spotykamy przykłady pogwałcenia zasady nietykalności mieszkań posłów, jak n. p. w r. 1749 w Paryżu, w r. 1752 w Petersburgu a później w Londynie.

Wolność domu rozszerzano na całe *quartier*, w którem zamieszkiwał poseł. Było to szczególniej w użyciu na dworze papiezkim. Przywilej ten, niezaprzeczenie niesłychanie dogodny dla prostych zbrodniarzy, którym dawał przytułek przed ściganiem sądów i organów policyi, jak tylko zdołali się schronić do dzielnicy, w której mieszkał poseł, doprowadzał do mnóstwa powikłań w praktycznych stosunkach i dlatego dziś już nie bywa wykonywanym. Najdłużej przywileju tego broniła Francya dla swego poselstwa w Rzymie, w skutek czego wynikł znany spór między Ludwikiem XIV a papieżem Innocentym VI, podczas którego ten ostatni wydał bullę papiezką z roku 1687 znoszącą *franchise des quartiers*. Dwór paryski upierał się koniecznie przy swojem, a gdy ze swej strony dwór watykański nie okazał się skłonnym do żadnych ustępstw, nastąpiły wzajemne objawy niechęci. Papież nie dozwolił wstępu do Watykanu posłowi Ludwika XIV Henrykowi Karolowi de Beaumanoir, margr. de Lavardin, w Paryżu zaś nie chciano przyjąć na dworze nuncyusza papiezkiego, aż w r. 1689 poseł francuzki został z Rzymu odwołanym.

Korzystając z nietykalności swego domu, dawniej posłowie dawali w nim przytułek wszystkim nawet krajowcom, którzy ścigani przed wymiarem sprawiedliwości do ich domu lub ekwipażu schronić się zdołali. Jest to t. z. *droit d' asyle*. Powoli jednakże przywilej ten zaczął wychodzić z użycia. W r. 1540, w czasie wojny rzeczypospolitej weneckiej z Turcyą, gdy Wenecya życzyła sobie zawarcia pokoju, wysłała w tym celu Ludwika Badoner do Konstantynopola z tajnemi poleceniami. Tymczasem rząd turecki był powiadomiony o wszystkiem, a poseł musiał podpisać warunki pokoju dla Wenecyi uciążliwe. Gdy się o tem wieść rozeszła po Wenecyi, zaczęto poszukiwać donosicieli i zdrajców. Okazało się, że są nimi tajni ajenci francuzcy w Wenecyi. Zaczęto ich ścigać, ale ci ratując się szukali schronienia w mieszkaniu francuzkiego posła. Władze miejscowe odmawia-

jąc prawa asylu żądały wydania zbiegów, a gdy poseł się ociągał, ustawiono dwie armaty przed jego pałacem, i polecono wojsku z bronią w ręku odebrać zdrajców, co też gdy dokonanem zostało, natychmiast ich powieszono między dwoma kolumnami na małym placu św. Marka. Dwór paryzki uważał kroki dokonano na jego poselstwie w Wenecyi za pogwałcenie prawa narodów i długi czas Jan Antoni Venier, ambasador Wenecki miał sobie wstęp wzbroniony na dwór w Paryżu. Wreszcie Franciszek I dozwolił mu widzieć się z sobą i zaczął od tych słów przy pierwszem spotkaniu: „Cobyś pan zrobił, gdyby tak względem niego postąpiono?“ „Najjaśniejszy Panie,“ odpowiedział ambasador, „gdyby niecni buntownicy przeciwko Twemu Majestatowi szukali schronienia w moim domu, własnemi rękami wydałbym ich w ręce karzącej sprawiedliwości, gdybym uczynił inaczej, byłbym surowo karany przez rzeczpospolitą.“ (Por. *Traité Complet de Diplomatie par un ancien Ministre*. Paris 1833. II.)

Naprόżno także pewien poseł francuzki pragnął ocalić Neapolitańczyka przed ścigającem go wojskiem papiezkiem. (*Vattel IV. 119.*) Podobnież nie mógł ocalić u siebie przestępcę politycznego Springera, angielski poseł w Sztokholmie, a gdy w roku 1726 poseł angielski w Madrycie dał przytułek ministrowi hiszpańskiemu X. Ripperda, siłą wydobyto go ztamtąd.

Te i tym podobne wypadki sprawiły, że *droit d'asyle* zaczęło wychodzić z użycia. Dziś nie istnieje ono nigdzie; nauka wszakże nie jest ze sobą w zgodzie, jak postąpić należy, gdyby dawny ten przywilej miał być wznowiony, tj. gdyby którykolwiek poseł nie chciał wydać zbiega. Większość autorów doradza wezwać go do tego przez ministra spraw zagranicznych, a w ostatecznym razie odnieść się do jego panującego. Inni zaś, nawet najpoważniejsi pisarze, dozwalają wojsku z bronią w ręku odzyskać zbrodniarza.

(C. d. n.)

Książę Jerzy Lubomirski.

D. 24. b. m. rozstał się z tym światem w Krakowie Książę Jerzy Lubomirski, ordynat Przeworski, kurator Zakładu imienia Ossolińskich, prezes oddziału archeologicznego Tow. nauk. krak., a po nadto wszystko jeden z najpodnioślejszych umysłów naszego czasu. Urodzony w r. 1817 we Wiedniu, był jedynym synem księcia Henryka i księżnej Teresy z Czartoryskich. Szkoły wyższe przebył w Pradze, gdzie obcując z mężami, którzy wskrzesili później narodowość czeską a już wówczas z uniesieniem piastowali w swych głowach ideał jedności wszechsłowiańskiej, nabrał śp. książę Jerzy niezłomnego przekonania o sile pierwiastku słowiańskiego, na którym stanowczo powinnaby się jego zdaniem oprzeć federacyjnie ukształtowana monarchia austryacka. Rzecznikiem więc słowiańskiego federalizmu był śp. książę Jerzy do kresu życia.

Z natury i tradycyi przodków mając w piersi najgłębsze poczucie katolicyzmu, wierząc w nierozerwany węzeł pomiędzy przyszłością narodu a przyszłością kościoła i papiestwa, utrwalił i zahartował w sobie te pojęcia do spiżowej siły w czasie sześcioletniego pobytu swego w Rzymie (1838—1844), gdzie obcował najbliżej z Zygmuntem Krasińskim, Włodzimierzem Czackim, Hieronimem Kajsiewiczem i Piotrem Semeneńką.

Słowiańszczyzna, federacya i monarchizm były więc godłami jego politycznej wiary, czysty katolicyzm, niezachwiana racyonalizmem czasu religijność i wzniosłe zasady obyczajowe, wysnute z najszlachetniej pojętego chrześcyanizmu stanowiły siłę moralną i sprężystość duchową tego człowieka. W takich zasadach i pojęciach czerpał on pewne uspokojenie pośród burz społecznych i religijnych wywrotów naszego czasu...

Jest pewien rzewny urok w tej postaci niedzisiejszej, przywiązanej duchem do godeł i idei przeżytych, w których obecne społeczeństwo nie widzi już podstaw do życia. Na każdym też kroku to życie rozgoryczało śp. księcia Jerzego; ratował się zbierając adresy do Piusa IX, w którym widział jedyne wcielenie swego katolickiego ideału.

W r. 1848 zasiadał w sejmie wiedeńskim i kromieryżskim, należąc wraz ze Zygmuntem Helclem, Adamem Potockim, Kazimierzem Dzieduszyckim i innymi do partyi konserwatywnej, pragnącej na upor przeciwdziałać radykalizmowi Wiednia i zrywającej się rewolucyi w Węgrzech.

Ktoby się kolwiek nie zgodził na polityczne, społeczne i religijne zasady śp. księcia Jerzego, musi wysoce cenić jego zasługi naukowe, jego trudy około zachowania archeologicznych zabytków, około utrzymania i podniesienia Zakładu imienia Ossolińskich, a przedewszystkiem oceni w nim siłę przekonań, czystość charakteru, podniosły nastrój usposobień, szczery patryotyzm i zacne serce obok światłego rozumu.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

TEATR. (*Br. Z.*) *Ostatnie role p. Rapackiego* były: Szyloka w „*Kupcu Weneckim*“ i Millera w „*Intrydze i miłości.*“ Ograniczony szczupłością miejsca, pragnę tylko wyrazić uznanie grze p. R. naprzód w roli Szyloka, stwierdzając, że pojęcie przezeń tej postaci Szekspira jest nader ludzko-szlachetnem, a wykonanie sumiennie wykończonem. P. R. ułożył swojego żyda z takich rysów, że fanatyzm jego wydaje się usprawiedliwionym, a silne piętno ludzkie znamionuje całą dziwaczną namiętność — jest to te znamię cierpienia, które czyni Szyloka mścicielem własnych i pokolenia krzywd. Ten odcień nadaje postaci godność i poetyczne stanowisko. Był on silnym w grze p. R., a równie w miarę było w niej żydowskiej natury i intonacyi. Scenę z Tubalem grał porywająco w pierwszej części. Pani Szymańska (Porcya) za mało w swą rolę przelała tkliwej uczuciowości i swobodnego humoru; właściwie obydwa te odcienia były, ale nie powiązane logicznie i jednolicie; cały nastrój gry jej wydał mi się za poważnym, a wszak tylko wrodzoną filuternością i zakrojem fantastycznym jej natury da się usprawiedliwić pomysł przybrania togi doktora.

Śliczną była gra p. R. w roli Millera. Zwięzła a rzewnie nastrojona prostota, sympatyczna i pełna siły jędrność mieszczańskiej natury cechowały ją; scenę z prezydentem grał z mistrzowskiem uwydatnieniem wszystkich rysów. Pani Szymańska (lady Milfort) odmalowała z bardzo wykwintnym i szlachetnym artyzmem postać zapoznanej a wzniosłej kobiety. Rolę Ludwiki grała pani Nowakowska. O ile zachwycamy się liryzmem pełnym słodyczy u pani N., o tyle sądzimy, iż rola Ludwiki zupełnie nie odpowiada warunkom i przyzwyczajeniom jej talentu. Wymaga ona daleko szczerszej prostoty na wyrażenie uczuć; poetyzująca czułostkowość nie zastąpi pierwotnej, naturalnej głębi. Gra pani N. była staranna i zawierała wiele cennych ustępów, ale trudno się było w obec niej ochronić od wrażenia nazbyt miękkiej ckliwości. Zanadto jeszcze pamiętamy wszyscy w tej roli grę pełną zdrowia, świeżości i niezgłębionego uczucia panny Deryng.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.